Nr. 12. Lwów dnia 20. Kwietnia 1872. **Rok I.**

Wychodzi w każdą Sobotę.
Cena prenumeracyjna w całej Austryi: rocznie 8 złr.—półrocznie 4 złr. — kwartalnie 2 złr.
w Niemczech: rocznie 5 tal.—półrocznie 2 tal. 15 sgr. kwartalnie 1 tal. 8 sgr.
we Francyi: rocznie 21 fr.—półrocznie 11 fr. — kwartalnie 6 fr.
Numer pojedynczy 20 ct.
Redakcya: Ulica wałowa Nr. 19.

ŚWIT

TYGODNIK NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Główne ajencye: we Lwowie księgarnia K. Wilda, w Krakowie księgarnia J. Wilda, w Poznaniu księgarnia J. K. Żupańskiego.
Rękopisy nie przyjęte do druku zwracają się w razie zażądania.
Szanownych autorów i nakładców, życzących sobie znaleść w „*Świcie*“ wzmiankę lub rozbiór krytyczny swych dzieł prosimy o nadsełanie Redakcyi egzemplarzy tłokowych

Ogłoszenie przedpłaty.

Z dniem 1go Maja b. r. rozpoczyna się **nowy kwartał** naszego pisma, trwający do ostatniego Lipca b. r. Upraszamy o **rychłe** ponowienie przedpłaty, ażeby według tego zastosować liczbę nakładu.

Świt wychodzić będzie w dotychczasowym formacie, tak, że na każdy numer wypadnie $1^1/_2$ arkusza druku.

Cena kwartalna wynosi	w Galicyi 2 złr. w. a.;	w Niemczech 1 tal. 8 sgr.;	we Francyi 6 fr.
„ półroczna	„ „ 4 „ „	„ 2 „ 15 „	„ 11 „
„ roczna	„ „ 8 „ „	„ 5 „ „	„ 21 „

Prenumeratę należy przesyłać za przekazem pocztowym lub w listach frankowanych wprost do Redakcyi *Świtu:* Ulica Wałowa Nr. 19.

W przyszłym kwartale drukować będziemy obszerną powieść *Michała Bałuckiego:* **„Między niebem a ziemią“;**

najnowszą komedyę *Władysława hr. Koziebrodzkiego* **„W jesieni“** i sławny dramat *Michała Beera*: **„Struensee,“** w przekładzie wierszem *Władysława Bełzy;*

poematy *Herdera:* **„Cyd“** i *Ossyana*: **„Karton“** w przekładzie *Władysława hr. Tarnowskiego;* jakoteż poezye *Michała Bałuckiego, Ernesta Buławy, Teofila Lenartowicza, Adama Pajgerta, Władysława Ordona* i innych;

szereg rozpraw naukowo-literackich, jako to: dr. *Adama Bełcikowskiego:* **„O poezyi polskiej XIX wieku i jej wpływie na umysłowe i polityczne życie narodu,“** dr. *Wł. Deisenberga:* **„O etnografii.“** *Wacława Gasztowta:* **„Rej i Montaigne,“** dr. *Gustawa Roszkowskiego:* **„O przywilejach i ceremoniach dyplomatycznych,“** *Henryka Schmitta:* **„Duch i przyroda w dziejach,“** *Alfreda Szczepańskiego:* **„Tadeusz Kościuszko na tle najnowszych badań“** i inne.

Lwów dnia 17. Kwietnia 1872. **Od redakcyi.**

O poezyi XIX wieku w Polsce i we Francyi,

przez

WACŁAWA GASZTOWTA.

Γνῶθι σεαυτόν.

Poznaj sam siebie! woła do ludzkości całej głos starożytnej mądrości. Każdy człowiek pojedynczy, każdy pojedynczy naród na tem jedynie poznaniu siebie samego może opierać jako na podstawie najpewniejszej i najtrwalszej całą budowę moralnego i nawet materyalnego wydoskonalenia swojej istoty; a jeżeli własną winą lub pod wpływem silniejszych okoliczności człowiek lub naród upadł moralnie lub materyalnie, z tej li tylko zasady wychodząc, może wynaleźć najstosowniejsze, najskuteczniejsze środki do wydźwignienia się z chwilowej niemocy. Ale jakim sposobem można dojść do tej samowiedzy, aby z niej snuć dopiero należyte wnioski? Jakim sposobem, naród, istota zbiorowa, żyjąca w przeszłości równie jak w obecnej chwili, składająca się z tyłu różnorodnych

żywiołów, mająca tradycye swoje, mająca i cele swoje nie wszędzie, nie zawsze jasno pojęte i określone, może nabyć tej niezbędnej znajomości wszystkiego, co stanowi jej naturę? Juźcić nie inaczej jak cierpliwem badaniem każdego z osobna szczegółu, z których składa się jej całość; przeszłość jej rozbieraną będzie w historyi, stan obecny będzie przedmiotem studyów jej polityków, ekonomistów, naturalistów; a z tego nagromadzonego materyału faktów, filozof, za pomocą syntezy, wytworzy ideał, do którego dążył naród w przeszłości, lub dążyć powinien w przyszłości.

Ale ten ideał lepiej jeszcze, chociaż często bezwiednie, wyraża się w literaturze narodu, a szczególniej w jego poezyi. Ztąd sławny aksyomat, że literatura jest wyrazem społeczeństwa; ztąd potrzeba i ważność tej nowożytnej nauki, która jest jednym z najszczytniejszych owoców naszego wieku, a której nazwa: krytyka literacka. Może niejeden z czytelników zadziwi się twierdzeniu, że krytyka jest nauką. Przez długi czas bowiem, jak każda początkująca praca umysłu ludzkiego, krytyka nie podlegała żadnym zasadom ścisłym, była tylko wyrazem pojedynczych wstrętów lub upodobań, a zachęcając lub zrażając współczesnych autorów równie samowolną surowością lub pobłażliwością, nie sięgała dalej jak chwila dzisiejsza, nie zakładała sobie szerszych i wyższych celów, jak kierowanie opinią publiczności, wydoskonalanie jej gustu i zmysłu estetycznego. Ale krytyka dzisiaj obejmuje historyę literatury, obejmuje więcej jeszcze, bo filozofię literatury, a stała się najpotężniejszem narzędziem do wyświecania cechy odrębnej, osobnego geniuszu każdego narodu, a przez to najkrótszą i najpewniejszą drogą do tej samowiedzy, o którę nam idzie.

Taki jest cel krytyki; jakaż jej będzie metoda? Jeżeli chcemy za pomocą krytyki literackiej poznać to, co stanowi istotę, treść, rdzeń geniuszu polskiego, jakim sposobem do tego przyjdziemy? Mamy przed sobą, jak w naukach przyrodzonych, fakta rozliczne; tymi faktami są pomniki literackie, które trzeba szczegółowo badać, między sobą porównywać i rozeznawszy je naukowo skupiać, grupować. Dokonawszy tej niezbędnej klasyfikacyi, będziemy mieli dokładną i wyrozumowaną znajomość literatury polskiej — ale czy to wystarcza, aby przyjść do zamierzonego celu? Bynajmniej. Chcąc bowiem znać przedmiot jakikolwiek, trzeba go umieć rozróżniać od innych przedmiotów, a porównanie, które nam dopiero posłużyło do zdobycia znajomości faktów stanowiących literaturę polską, powinno teraz zbliżyć literaturę polską do innych literatur, podobieństwa i różnice między nią a temi literaturami naukowo wykazać, abyśmy z tego mogli wywnioskować, że w literaturze polskiej ten lub ów żywioł jest ogólnie ludzkim, ten znowu jest ogólnie europejskim, ten ogólnie słowiańskim, ten nareszcie czysto polskim.

Nie łatwe to zapewne dzieło, któremu w całości podołać ani jeden człowiek, ani całe pokolenie pisarzów nie może. Wymaga ono bowiem wszechstronnej i głębokiej znajomości wszystkich języków, wszystkich literatur starożytnych i nowożytnych, europejskich i zaeuropejskich. Gmachu tego olbrzymiego postawić nikt nie jest w stanie, ale właśnie dla tego powinnością każdego przynieść doń cegiełkę swoją. Rozprószeni po świecie, a jednak złączeni jednym wspólnym nierozerwanym węzłem poczucia narodowości naszej, my Polacy możemy lepiej jak ktokolwiek korzystać z tych wyjątkowych okoliczności i próbować tego dzieła.

W tem to przekonaniu, głęboko we mnie wkorzenionem, od czasu jak opuściłem ławy szkolne, poświęciłem wszystkie myśli, wszystkie prace jednemu celowi: porównywać umiejętnie literaturę francuzką i literaturę polską, rozeznawać dwa żywioły, polski i francuski, śród których oddychałem, które składały się, że tak powiem, na utworzenie mojej istoty moralnej. Czy wypadek tych poszukiwań zasługuje na to, abym go oddał pod sąd publiczności? Czy pojedyncze usiłowania jednego zdolne będą obudzać ciekawość i gorliwość drugich? Nie śmiem odpowiedzieć sam na te pytania, a zanim dojdziemy do całkowitego porownania obu literatur, na próbę tylko ośmielam się ogłosić jeden z działów tej niedokończonej a długiej i mozolnej pracy.

I.

Poezya XIX wieku jest niezaprzeczenie we Francyi i w Polsce, a szczególniej w Polsce, jednym z najwybitniejszych objawów siły twórczej każdego z tych narodów. Są to dwa chóry potężne, wspaniałe, w których harmonijna jedność wynika z najrozmaitszej różności pojedynczych dźwięków i akordów, a w których żyje to, czego my właśnie szukamy, a co poeci nazwali d u s z ą n a r o d u. Jednocześnie one się odezwały, w części temi samemi okolicznościami wywołane, w części z jednego natchnienia pochodzące; a zatem mają one wspólne niektóre tętna i często wtórują sobie, chociaż obok częściowych podobieństw mieszczą się w nich wszystkie niemal różnice, które rozdzielają geniusz polski od francuzkiego. Pod tym względem są one najwierniejszem odbiciem, najzupełniejszem streszczeniem obu literatur, i najstosowniejsze otwierają nam pole do ogólnych poglądów.

Kiedy wypadki zaszłe pod koniec XVIII stulecia, a będące same wynikiem poprzedniej kilkowiekowej pracy historycznej, zatrzęsły całą Europą a następnie całym światem, kiedy rewolucya umysłowa i polityczna zmieniając do szczętu wszystkie stosunki społeczne i międzynarodowe, oddziałała na płody umysłowe i dokonała w literaturach europejskich reformy co najmniej tak ważnej, jak zdobycie Konstantynopola za czasów tak zwanego o d r o d z e n i a (*la Renaissance*), czem była francuzka, czem była polska literatura?

We Francyi wrodzony plemieniu galickiemu zmysł satyryczny i pozytywny utworzywszy w średnich wiekach owe tak dowcipne bajki i powieści, jakie po wioskach kuglarze (*le jongleurs*) powtarzali wyśmiewając mnichów, księży, lekarzy, uwiedzionych małżonków, wkradłszy się i do tych nawpół tylko epicznych poematów, które pod nazwą *chansons de gestes* opiewały bohaterskie czyny Bretończyków, paladynów lub rycerzy krzyżowych, natchnąwszy owe mieszczańskie romanse (*du renard, de la Rose*), w których satyra stała się bronią polityczną przeciw wspólnym przeciwnikom królewskości i średniego stanu, ożywiwszy także kroniki Villehardouina, Joinvilla, Froissarda, nareszcie po przejściowym peryodzie XVgo wieku wyraziwszy się tak w wyszukanych wierszach Ks. Karola Orleańskiego jak w grubiańskich utworach Paryżanina Villon i w naiwnych a patryotycznych komedyach Gringoire'a, znalazł w XVI wieku, już pod wpływem starożytności najzupełniejsze uosobienie swoje w umyśle genialnym o encyklopedycznej erudycyi i niesłychanej śmiałości Franciszka Rabelais, który pod sprośnymi zazwyczaj obrazami i wyrażeniami ukrywał zarodek najradykalniejszych reform, a ukryty maską dworskiego trefnisia kruszył kopie za wolnością myślenia i sumienia przeciw wszystkim przesądom przeszłości.

W tym samym wieku, wśród wojen domowych, wśród tymczasowego upadku moralnego i materyalnego Francyi, za nikczemnych synów Katarzyny Medycejskiej, ślepi naśladowcy starożytności łacińskiej i greckiej,

Ronsard i jego plejada, miłośnicy formy, bezmyślni a niezręczni artyści w poezyi, zakładali nową, nieznaną dotąd szkołę *de l' art pour l' art*, a sceptyczny Montaigne podkopując gmach już zachwiany filozofii scholastycznej, przygotowywał dzieło Descartes'a. Z końcem burzy domowej, ze wstąpieniem na tron Henryka IVgo, poezya zawsze czysto formalna wynajduje przecież zgodniejszą z narodowem usposobieniem drogę, a Malherbe i Regnier, liryk i satyryk, tworzą język poetyczny, którym posługiwać się będą poeci XVIIgo wieku, a proza od czasów Kalwina coraz jaśniejsza i zwięzlejsza nabywa większego poloru z Balzakiem i Voiturém.

Wtenczas jaśnieje w całej pełni klasycznego blasku owa literatura XVIIgo wieku, naśladownicza a jednak oryginalna, grecka i łacińska z pozorów, a w gruncie, mimo dworskiego poloru, zawsze czysto francuzka, to jest pozytywna lub satyryczna, wznosząca się często do najświetniejszej wymowy z Kornelem, Pascalem i Bossuetem, odznaczająca się doskonałością formy z Racine'm, Fenelonem i Labruyer'em, ale nie mogąca w wersalskiem, niezdrowem, monarchicznem powietrzu odczuć tej prawdziwej, niewymuszonej poezyi helleńskiej, nie mogąca zrozumieć ani oddać natury, licząca tylko trafnych moralistów, dowcipnych satyryków, głębokich filozofów, wymownych kaznodziei i dramaturgów, najbieglejszych mistrzów słowa, ale jednego tylko poetę Lafontaine'a, który nie poddał się jarzmu etykiety dworskiej i przyjętej wówczas akademicznej estetyki.

Ze śmiercią Ludwika XIVgo zmienia się postać rzeczy: z nim w jednym grobie pochowany klasycyzm monarchiczny. Napróżno poeci Racine, J. B. Rousseau, sam Voltaire usiłują iść torem poprzedników; naśladowanie ich blade, bezsilne pod względem formy, wtenczas tylko nabywa jakiej wartości, kiedy jak Voltaire w sztukach teatralnych, wmięszają do dawnego żywiołu albo zapożyczone od Schakspeara efekta, albo wygłaszają klasycznym wierszem nowe, reformatorskie teorye XVIIIgo wieku. Po literaturze formy następuje literatura myśli; Montesquieu zakłada nową filozofię historyi i nową filozofię prawa — filozofię pozytywną, empiryczną, ale obfitą w trafne i głębokie spostrzeżenia, zawierającą w zarodku najzbawienniejsze reformy, jakie uskuteczni rewolucya francuzka; Voltaire odmładnia historyę, propaguje naukę i filozofię angielską, oswaja Francuzów z Lockem, z Newtonem, z Schakspearem, dotyka się wszystkich przedmiotów powierzchownie a tem powabniej, prawdziwy mieszczanin francuzki, lubiący wolność myślenia i sumienia, ale co chwila w atakach swoich przeciw nieprzyjaznym sobie instytucyom przebierający miarę, śmiały reformator a zarazem płaski dworak, broniący prawa i sprawiedliwości przeciw nietolerancyi urzędowej swego kraju, a pomagający obłudnym filozofom w koronie potępiać prawo i sprawiedliwość w Polsce; prawdziwy Francuz, bo skupia i streszcza w sobie jak Rabelais wszystkie żywioły, wszystkie sprzeczności, z których się składa gieniusz narodowy, pozytywny a lekkomyślny, wolnomyślący a przyjaciel despotów, miłośnik ludzkości a przeciwnik patryotyzmu. Poezya francuzka XIXgo wieku, na którę wywarł wpływ tak ogromny, jest niejako reakcyą—ale bezsilną—przeciw niemu. Dlatego wypadło nam w tem studyum dłużej zastanowić się nad jego rolą.

(C. d. n.)

ŚWIĘTO MAJOWE,

poemat

z czasów pogaństwa Słowian łużyckich

przez

ROMANA ZMORSKIEGO.*)

URYWEK PIERWSZY.

. . . .

Niech duchy ojców, błądzące
W górze, w mgły tumanach sinej,
Cieszą się, widząc swe syny
Mężnie zakon ich pełniące.

Niech się cieszą, że wraz z nimi
Nie padła święta ich wiara,
Stary zwyczaj i cześć stara
Na zbroczonej krwią ich ziemi.

CHÓR MĘZKI:

Tak! Niech duchy ich, błądzące
W górze, w mgły tumanach sinej,
Radują się, widząc syny
Mężnie zakon ich pełniące.

Radują się, że wraz z nimi
Nie padła święta ich wiara,
Stary zwyczaj i cześć stara
Na zbroczonej krwią ich ziemi.

JEDNA Z KOBIET:

Ach! lecz nikt że z was nie spyta:
Co się? co się z nami stanie?
Psiarnia Niemców krwi nie syta,
Jeźli zwietrzy tu nasz zbór
I napadnie niespodzianie?...
Tu z dala naszych manowców,
Z dala naszych leśnych nór,
Zaskoczeni wroga zdradą,
Cóż poczniemy z sobą? cóż?...
Jak bezbronne owiec stado,
Musim szyję dać pod nóż
Krwawych naszych prześladowców!

CHÓR KOBIET:

Ach tak! Cóż poczniemy? cóż?...
Jeźli zwietrzy wróg nasz zbór?...
Tu, z dala naszych manowców,
Z dala naszych leśnych nór,
Cóż poczniemy z sobą? cóż?...
Zaskoczeni wroga zdradą?...
Jak bezbronne owiec stado
Przyjdzie szyję dać pod nóż
Krwawych naszych prześladowców!...

KAPŁAN:

I zkądże ta bezbronna trwoga?...
Cóż nada się trwożyć?...
Tyle nas każdemu pożyć,
Ile w woli Boga!
Śmierć i życie w Jego dłoni.

*) W tece ś. p. Romana Zmorskiego, znakomitego twórcy „*Wieży siedmiu wodzów*" znalazły się podane tu urywki rozległego poematu Słowiańskiego; umierający poeta wierzył, iż tem dziełem, którego przedmiot tak ukochał, zostawi swemu narodowi po sobie trwałą pamiątkę. Cząstkę rękopisu w bardzo zmienionej z powodu cenzury formie podał był dawniej *Tygodnik illustrowany*; tu ogłaszamy go po raz pierwszy wiernie i w całości, otrzymawszy go od wdowy po ś. p. Romanie, pani Tekli Zmorskiej.
(Przyp. Red.)

On niedozwoli,
By jego woli
Z człowieka skroni
By upadł włos!

Lecz komu On
Przeznaczy zgon,
Czyż może śnić
Przed nim się skryć?
Omylić Jego cios?

W wnętrznościach ciemnych
Skalistych wzgórz,
W głębiach tajemnych
Burzliwych mórz
Jego cię ramię
Znajdzie — i złamie!...

Więc niechaj bezbożna trwoga
Nieobraża próżno Boga!

Lecz jak dzieciom tych przystało,
Co w świętości swych obronie
Legli na głazach ofiarnych —
Ufni Bogu, bez trwóg marnych,
Po starych Ojców zakonie,
Obrzęd nasz pocznijmy śmiało!

(*Na skinienie kapłana młodzieńcy niosący drzewo majowe zatykają je w ziemi.*)

CHÓR OGÓLNY:

Jak dzieciom ojców przystało,
Co w świętości swych obronie
Legli na głazach ofiarnych
Ufni w Bogu, bez trwóg marnych —
Po starym Ojców zakonie,
Święto wiosny sławny śmiało!

KAPŁAN:

Oto już zielone,
Cudnie przystrojone,
Majowe drzewo się chwieje!...
Dalejże! wesoło!
Przy niem na około
Zawiedźcie pieśni i reje! *)

Zaspiewajcie! wyskoknijcie!
Weselcie się cudnej młodości!
Z czary życia roskosz pijcie!
I kwiaty zrywajcie miłości!

Bo gdy śniegi spadną,
Róże lic pobladną,
Daremnie się smucić,
Błogich dni nie wrócić!

CHÓR OGÓLNY:

Zaspiewajmy! wyskoknijmy!
Weselmy się młodości!
Z czary życia rozkosz pijmy!
Zrywajmy kwiat miłości!

CHÓR DZIEWCZĄT:

Bóg nam młodość daje —
A jak śnieg z tych gór,
Prędko młodość taje
I wdzięk ziemi cór.

CHÓR MŁODZIEŃCÓW:

Kto się nie weselił,
Szczęściem się nie dzielił,
Kto wieku nie użył,
Bogom się zadłużył!

CHÓR OGÓLNY:

A więc po zwyczaju,
Przy zielonym maju,
Brzmij pieśni wesoła!
Pląsajmy do koła!
Przy zielonym wonnym maju!

(*Chwytają się za ręce i otaczają tańcząc drzewo majowe.*)

(Dok. n.)

*) *Reja* — narodowy taniec łużyckich Serbów.

KALEJDOSKOP

obrazy czasów i ludzi

przez

BERLICZA SASA.

(Ciąg dalszy.)

Już świtać zaczęło, kiedym znużony pielgrzymką i gwałtowną walką wewnętrzną, padł bez zmysłów prawie u podnóża posągu kamiennego Matki Boskiej, wznoszącego się od kilku wieków w jednym z najdzikszych wąwozów Sierry Moreny, którędy orzeł tylko lub zuchwały b a n d o l l e r o gór mieli tory swoje. Straszne to było miejsce, najeżone rozpaczliwym, że tak powiem, nieładem skał nagich, to zawieszonych w powietrzu bez widomego punktu oporu, to wypartych z gniazda i rozmieconych olbrzymią jakąś siłą rozgromu i zniszczenia. Żadne tam drzewo nie rośnie, żaden zdrój nie dyszy. Nigdzie zieleni ni kwiecia! Nigdzie ochłody po znoju, spoczynku po trudzie, bo tam skwar pali we dnie, gad jadowity zabija w nocy, lub stokroć gorszy od gadu — człowiek napada!

Było to miejsce pamiętne w dziejach Hiszpanii. Kiedy Ferdynand III, syn Berenguelli i Alfonza IXgo, *) w r. 1235 Kordubę oblegał, A b e n H u d, sułtan Sewilli, posłał wojsko na pomoc oblężonym spółwyznawcom swoim. Lecz nieświadomi miejscowości Maurowie zabłąkali się w labiryncie jarów Sierry Moreny, gdzie napadnięci przez chrześcyan wyginęli do nogi. Wtedy to kazał Ferdynand III wznieść na pamiątkę odniesionego zwycięstwa ów posąg Bogarodzicy, u stóp którego zastało mię wschodzące słońce znękanego trudem i boleścią.

Gdym przyszedłszy do siebie zdrowiej osądził pozycyę moją, pojąłem, że te rozpaczliwe wałęsanie się moje bez celu nie było środkiem stawienia czoła losowi i przezwyciężenia złej doli. Ponieważ nie chciałem powrócić do Grenady, a do Korduby nie mogłem, należało jąć się czegoś takiego, coby nie dozwoliło umrzeć z głodu i dziwacznemu donkichotyzmowi kres położyło. Byłem młody, silny, wytrwały. Czułem, że mi na męztwie nie zbywa. Czemuż — pomyślałem — nie miałbym zaciągnąć się do wojska i sztandarom ojczystym życie poświęcić? Stanąwszy twardo na gruncie takiego postanowienia doznałem ulgi i uspokojenia. Otucha wstąpiła do duszy i przyszłość uprzejmiej się do mnie uśmiechnęła. Pomodliwszy się tedy przed statuą Matki Boskiej i poleciwszy Jej miłosierdziu moją biedną C a r m e n, oraz samego siebie, wyszedłem spiesznie z wąwozu i wkroczyłem na drogę do A n d u j a r.

*) Króla Leonu.

Upał był nieznośny. Niby źwierciadło Archimedesa, słońce paliło ziemię, jakby ją w popiół obrócić chciało. Na moje szczęście droga, którą szedłem, wiodła przez miejsce obfite w strumienie i ocienione laskami pomarańcz, cytryn, granatów i sykomorów. Wysokie aloesy, myrty i cyprysy długimi rzędy nad samym prawie gościńcem rosnące udzielały także cienistego schronienia. Z powodu, że tamtędy przechodzili całemi partyami mulnicy z Jaën do Ciudad-Real z ładunkiem towarów nie zawsze sumiennie nabytych (o czem wąwozy Sierry wiedziały najlepiej), spekulanci, wietrzący zysk pewny; nie omieszkali osiedlić się tam w posadach i ventach, gdzie pod firmą wina Valdepennas przedawali za niemiłosierną cenę fałszowaną lurę jakąś a psim kotletom i potrawkom ze szczurów kazali udawać szlachetniejsze płody kulinarnego mistrzowstwa. Lud podróżny, nieświadomy tych szczegółów i, jak wiadomo, niebardzo wykwintny w swoich alimentarnych zachciankach, zajadał smaczno, co mu podawano, wypijał w najlepsze, co mu nalewano, a chociaż bywało zżymał się czasami w obec przesadzonej cyfry pieniężnych wymagań posadera, — płacił.

Pierwsza venta, jaką napotkałem, stała na pagórku, przyparta do lasku palm szerokoliścich, oliwów i pomarańcz. Była to kiedyś budowa czworokątna obszernych rozmiarów maurytańskiego stylu, rodzaj strażniczego zamku. Lecz wieki obaliły w wielu miejscach obwodową ścianę. Z baszt narożnych pozostały jeno kupy rumowisk. Jedna tylko wchodowa brama w arabską treflę szeroko zasklepiona i formująca rodzaj krytego kurytarza zachowała moc swoją pierwiastkową i formę. Ona to właśnie ulegając przewrotności losu musiała biedna służyć za ventę kontrabandystom i bandollerom.

Kiedym się zbliżył do niej, słońce było jeszcze wysoko, chociaż metę południa dawno już przekroczyło. Przed ventą stało kilka mułów z dzwoneczkami, obładowanych towarem i uwiązanych do zagrody. Kilku ludzi krzątało się koło nich. Miny ich surowe nie wzbudzały zaufania, a trabuco (ostro nabite zapewne) zawieszone przez plecy, usprawiedliwiało poniekąd tę nieufność. Sam dostojny ventero, niezrównany mistrz łowiectwa na cudze maravedis, zadowolniony widać polowaniem dnia tego stał z rozkwitłą twarzą u wnijścia gospody, wypatrując ciekawie ażali nowy gość jaki, z tych co zwał grubą zwierzyną, nie przybywa.

Pojawienie się moje było rażącym kontrastem do złotych mar korzyści, jakiemi pożądliwość swoją zabawiał. Strój zaniedbany, prawie ubogi, jaki mię okrywał—sama wreszcie ta okoliczność, że przybyłem pieszo bez ręcznego nawet zawiniątka, były dostatecznym powodem dla gospodarza venty do okazania mi lekceważenia, jeżeli nie pewnego rodzaju pogardy. Na moje słowo pozdrowienia nie raczył odpowiedzieć. Pytanie moje: czy znajdę u niego posiłek i kąt dla spoczynku, puścił mimo uszu, jak gdyby głosu mego nie słyszał. Porywczy z natury i nie znoszący obelgi, wyszedłem z siebie i zawrzałem gniewem, a że stojący na progu ventero tamował mi wejście do środka, takiego mu dałem pięścią szturchańca pod bok, że skręcił kozła i krzycząc w niebogłosy *Santa Madre de Dios!* stoczył się po kamiennych schodach aż na sam środek podwórza.

Śmiech głośny mayoralów krzątających się około swoich mułów, wywołał resztę koleżków z venty. Wybiegli hurmem nieco podochoceni, a ujrzawszy, jak dostojny ventero skutkiem impulsyi mojej pięści, swej horyzontalnej rotacyi dokonywał, wzięli się za boki i przeraźliwymi okrzyki ironicznego zadowolenia tę scenę zabawną witali. Nie potrzebowałem wyraźniejszego dowodu niechęci, jaką wywołał niesumiennością swoją. Dowiedziawszy się czyjej mianowicie pięści byli obowiązani za to komiczne intermedium, wszyscy mayorale oraz inni podróżni otoczyli mię oznakami najżywszej sympatyi, podziwiali siłę i sprężystość ducha, w końcu wprowadzili uroczyście do venty, usadowili na ławie kamiennej i zaczęli pić kolejno moje zdrowie, przemawiając do mnie słowy względu i życzliwości.

Nie mam potrzeby mówić, że anim się spodziewał anim życzył sobie takiej owacyi. Uznanie ludzi więcej niż podejrzanej cnoty nie mogło pochlebiać miłości własnej uczciwego człowieka. Postanowiłem wszakże stłumić w sobie wstręt, jaki czułem do nich i wywiązać się z roli głosem rozsądku zaleconej, ku ogólnemu zadowolnieniu prześwietnego zgromadzenia bandollerów, raterów, zagalów, kontrabandystam i mayoralów.

Ponieważ z łaski zacnego Dona Perez'a Vasconvallos miałem przy sobie trochę kieszonkowego grosza, kazałem podać kilka sporych flasz Carcavelha i Valdepennas z dodatkiem obfitej zakąski a także cigarrilów i tytoniu podostatkiem, co gdy przyniesionem zostało, ofiarowałem uprzejmie nowym przyjaciołom moim. O mało nie ogłuchłem od hucznych objawów ich wdzięczności. Okrzykom, tupaniom, ekstatycznym manifestacyom zadowolenia nie było końca.

— *Caramba!*—wołał bogdaj czy nie bandollero *) Sierry Moreny, uderzając o rękojeść szerokiej navaja sterczącej mu za pasem. — Patrzcie go! Wygląda jak dziecko, *casi un nino*, a jaki zuch w skórze jego chodzi! *Viva!*

— *Viva!* — powtórzono z zapałem i zadzwoniły czasze w cześć moją.

— *Sennor caballero!* — ozwał się jeden z tłumu do mnie, wysuwając się przebojem naprzód, za pomocą rzęsistych szturchańców, którymi hojnie tamujących mu drogę obdzielał.— Nazywam się Gil Galego z Andujar i jestem *hijos de esta ciudad.* Nie ma tam takiego, coby mię nie znał, bo żadna corrida nie obejdzie się bezemnie...

— Jesteście więc — zapytałem — matador'em albo picador'em andujarskiego cyrku?

— *No sennor!* *) — odpowiedział — ale to ja dostarczam miastu byków ze stad *mas acreditadas de Espana.* *) A przytem kształcę matadorów, boć i sam byłem nim kiedyś. Dotąd pamiętają Gil'a Galego w Oviedo i Valladolid! Był czas, że go witały takie okrzyki i okłaski, kiedy się w cyrku ukazał, że aż bywało trzęsie się ziemia, *tiembla la tierra!* Ale dość o tem! Co było, nie wróci. Jestem stary a więc do niczego. Prędko, kiedy zapytasz gdzie Gil Galego? odpowiedzą tobie: *es muerto!* Taka rzeczy kolej! Ale... cóż miałem rzec?... a — a — czy nie zechciałbyś zostać matador'em? Piękny to zawód i pełen sławy! Jesteś młody, zręczny, odważny i silny (o czem boki i żebra dostojnego Lopez, gospodarza tej venty, mogłyby najlepiej zaświadczyć). Wszystko za tem przemawia za tobą, *sennor caballero...*

Nie skończył jeszcze, aż wpada nagle sam gospodarz Lopez i wrzący wściekłością za owego serdecznego szturchańca, jakim go uraczyłem, sunie się ku mnie, grożąc pięściami i miotając straszliwe przekleństwa. Sądził zapewne, że goście venty, wszyscy dobrzy znajomi, staną po jego stronie i dopomogą do energicznej ze mną rozprawy. Kosztował więc już przedwcześnie

*) Bandyta.
*) Nie! panie.
*) Najwięcej wziętych w Hiszpanii.

rozkoszne słodycze odwetu i zemsty, których był pewnym zupełnie. Jakież musiało być jego zdziwienie, gdy zamiast sympatyi i spółczucia znalazł raźną sprzeczność w usposobieniu tych, na których liczył. Straszliwa wrzawa rozległa się w tłumie. Klątwy i obelgi posypały się nań gradem.

— Precz ztąd! zdzierco! szachraju! łotrze! *Fuera el bribon!* *) *fuera el perro!* *) — wołano przeraźliwie.

Gil Galego, któremu nie wiem zkąd wlazło do głowy zrobić ze mnie koniecznie matador'a i zostać tym sposobem spólnikiem materyalnych moich sukcessów na tej drodze, podniecał, chcąc się mi przysłużyć, żywioły wybuchu, draźnił dziką porywczość tłumu i obelgę słowa usiłował zastąpić obelgą czynu, napaścią wszystkich na jednego, krwawą być może nawet katastrofą. Byli już tacy, których się pięście ścisnęły konwulsyjnie i których źrenice złowrogo płonęły. Byli tacy, którym drapieżność tygrysa nastręczała mordercze zachcianki. Nie w jednym ręku obnażona *navaja*. *) Niejedne *trabuco* *) było w pogotowiu. Nieszczęsny Lopez tem bardziej się powyższym stanem rzeczy przeraził, że wiedząc z kim miał do czynienia, czuł się realnie w niebezpieczeństwie. Nie był to już ten sam pyszałek, gbur pewny siebie, którego musiałem nauczyć *mores*. Korny i drżący, blady i zbytkiem podłości nikczemny, stał on z pochyloną głową, miał swoje *sombrero* *) w ręku i błagalnem wejrzeniem wzywał przebaczenia i litości.

Jeszcze jedna kropla, a czara byłaby przepełnioną. Nie było więc czasu do stracenia.

— *Sennores!* — rzekłem, powstając z ławy, do koła której cisnął się tłum mojem winem, moją zakąską i tytoniem moim ujęty. — Dajmy pokój tej sprawie! Nie warta ona, żebyście do niej tyle wagi przywiązywali. Nie mam już najmniejszego żalu do ventera. Odpłaciłem mu dostatecznie za jego niegrzeczność. Kwita zatem pomiędzy nami. Obydwa my, ja i on, odnieśliśmy korzyść niemałą z tego zdarzenia. Ja, żem was poznał i przychylność waszą pozyskał. On, że się nauczył być nadal grzeczniejszym dla podróżnych, jakiegoby stanu nie byli— albowiem obowiązkiem jest jego być grzecznym dla tych, których groszem tak swoje pyski wykarmił i takiego wyhodował brzuszka...

Śmiech homeryczny przebiegł po tłumie i złe jego porywy uśmierzył. Trywialność końcowej frazy dokazała cudu. Medal się odwrócił na drugą stronę. Po burzy cisza nastała. Odżył przerażony ventero. Otucha wstąpiła do duszy jego, (jeżeli ją miał). Podskoczył do mnie z oznakami najżywszej wdzięczności. Chwycił za ręce i ucałował. Potem rzucił się w gęszcz tłumu, który miednym łbem swoim gdyby klinem jakim rozsadził. Tam się rozsypał w ukłonach, zalecankach, pochlebstwach, podłościach słowa, spojrzenia i gestu. Gruby sarkazm i wzgardliwe politowanie były mu na to jedyną odpowiedzią. Gil Galego, ów przesławny mistrz matadorów i mój stronnik gorliwy posunął dalej jeszcze rubaszność wstrętu, jaki czuł do niego. Kiedy się dostojny Lopez zbliżył doń w susach i kurbetach, sypiąc słówka cukrowe i ścieląc się przed nim w najpokorniejszej submissyi, kopnął go nogą z taką siłą, że nieszczęsny pchnięty w górne strefy polotu wykręcił kilka młynków w powietrzu, nim się rozciągnął na kamiennym pawimencie venty.

*) Precz z łotrem!
*) Precz z psem!
*) Rodzaj sztyletu.
*) Strzelba.
*) Kapelusz.

Okoliczność ta podwoiła jeszcze wesołe usposobienie tłumu. Flasze, kufle, dzbany zaczęły się znowu pienić trunkiem. Kulejąc po świeżej przygodzie zaaferowany Lopez biegał od stołu do stołu, zalecał, namawiał, nalewał. Tłum rozstrzelił się na grona, pary, jednostki. Gil Galego perorował o swoich cyrkowych tryumfach. Jedni słuchali, drudzy sami o czemś rozprawiali lub skłoniwszy trunkiem obciążone głowy drzemali. Jakiś mayoral porządnie cięty zawodził ochrypłym głosem przerywanym bachicką czkawką, stance z Romancera

Era el caballo morcillo etc. etc.

Drugi wtórzył mu na niestrojnej gitarze niezgodnym rytmem i z innego tonu. Ówdzie toczono spór żywy przebiegając wszystkie szczeble frazeologii motłochu, wszystkie intonacye skali zapalczywości i oburzenia. Dalej w najsamotniejszym kącie venty ledwie dostępnym dziennemu światłu szkicowały się niepewne kontury, sceny godne flamandzkiej szkoły. Dwóch podróżnych obcych pijanemu tłumowi siedziało przy stole. Trzeci stał oparty o filar spiralny, co w tem miejscu arabską gzymsaturę podpierał i palił cygarillo. Wszyscy trzej jakby zaczajeni na zasadzce śledzili okiem i uchem ruchy i gwary tłumu, rzekłby kto, że ważnym jakimś interesem badania zajęci. Wyrazu ich oblicza dostrzedz nie mogłem, bo jakem już mówił był to najciemniejszy kąt venty. Co do stroju nie miał wyłącznego charakteru odróżniającego raźnie stan i powołanie. Był to właściwie strój fantastyczny, *vestida al capricho*, jak mówią Hiszpanie, mięszanina vestimentalnych szczegółów, nieodpowiednich sobie, a więc nie dających się objąć żadnym stanowczym wnioskiem. Przebijało w nim wszakże coś militarnego, ba nawet arystokratycznego pomimo niewykwintności i skromnej prostoty jaką się odznaczał.

Zostawiony sam sobie, (bo dostojny Gil Galego raczył mię nakoniec uwolnić z pod opieki swojej), zająłem się *con amore* śledzeniem za tymi ludźmi, których przytomność w tem miejscu i zachowanie się pobudzały ciekawość moją. Mrok wieczorny zatopił ich grubszym jeszcze cieniem. Zapalono wprawdzie lampę pod sklepieniem venty, lecz światło jej pozbawione życia i promienistości nie sięgało daleko, do nich zaś wcale nie dochodziło. Kiedym o nich Lopez'a zapytał, zniżył głos do dyapazonu szeptu i odpowiedział oglądając się niespokojnie:

— Nie znam ich *sennor Caballero!* Nigdy u mnie dotąd nie byli. Nie są to jednak prości ludzie. Przyjechali na dobrych koniach, *todos a caballo* — ale zkąd? dokąd? i poco jadą? — niewiadomo. Jeden z nich podobny jak dwie krople wody do Jego Wysokości Księcia Pokoju, któregom widział niedawno w Aranjuez podczas ostatniej *Corrida de novillos* *) i gdybym nie wiedział, że taki pan nie odbywa podróży konno i bez licznego orszaku, myślałbym prawdziwie, że to on tam siedzi w kącie mojej venty.

Słowa te podwoiły jeszcze ciekawość moją. Nie dopuszczałem ja, ma się rozumieć, żeby się w liczbie nieznajomych przybyszów znajdował ów sławny Emanuel Godoy, Książę Pokoju, wszechwładny ulubieniec dworu—a jednak nie mógłbym zaprzeczyć temu stanowczo. Wieści krążące po kraju, a które się w Grenadzie i Kordubie o moje uszy obiły, upoważniały poniekąd do przypuszczeń najmniej nawet prawdopodobnych. Opowiadano o niesnaskach u dworu, o nieporozumieniach wichrzących harmonię królewskiej familii. Mówiono o jakiejś skandalicznej scenie w Eskuryalu, w skutek której książę Asturyi, Ferdynand, miał być aresztowany i oddany pod

*) Igrzysko z bykami nowymi.

sąd za pokuszenie się na życie matki i na królewską władzę ojca. Głos ogólny uniewinniał księcia, lecz tenże głos potępiał surowo Emmanuela Godoy, ulubieńca rozwiązłej żony Karola IVgo, najniedołężniejszego z mężów i najniedołężniejszego z monarchów. Jemu to, temu bezczelnemu parweniuszowi, przypisywano niecną intrygę przeciw następcy tronu, który mu jawnie swoją wzgardę i nienawiść okazywał. Wieści takowe spływając z wyższych sfer społeczeństwa do narodowego poziomu potęgowały się, zaogniały i hyperbolą podsycane roznosiły po kraju niepokój, oburzenie, zamęt, usposobiając umysły do ostrego sarkazmu względem króla, do wzgardliwej satyry względem królowej i do nienawistnych zapałów względem Księcia Pokoju, którego oskarzano o występne nadużycie władzy ze szkodą godności tronu, kraju i narodu. Nieraz mi się zdarzyło słyszeć groźne demonstracye przeciw niemu, złorzeczenia, klątwy i pogróżki. Byli tacy, którzy widzieli w tym człowieku złego demona Hiszpanii, Judasza gotowego zaprzedać ją odartą i znieważoną. Według Dona P e r e z ' a V a s c o n v a l l o s ten coby go zmiótł z tego świata dopełniłby czynu istnie obywatelskiego i zasłużyłby na wdzięczność ojczyzny.

(C. d. n.)

Historyozofia J. W. Drapera.

(*History of the intellectual developement of Europe, by John William Draper. M. D. L. L. D. in two volumes, London 1864*)

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Człowiek przeświadczony o tem, że jest panem i władzcą przyrody, oddawna ciekawy swoich przeszłych i przyszłych losów; a że podanie czasu niedawnych tylko lat sięgało, a że przyszłość całkiem się przed ludzkim wzrokiem ukryła, szukano od początku za wyższą jakąś mądrością, któraby mogła wskazać i ojców i wnuków dolę, w jednej ogólnej formule objętą. I w tem początek historyozofii.

Historyozofia jest zatem jedną z najdawniejszych nauk i nie było jakkolwiek uobyczajonego narodu pozbawionego historyozofii, bo każdy naród już we wierze swojej posiada klucz do praw rządzących dziejami. Egipcyanin dawny widząc i nędzę i wielkość ludzką, dzieje do roku przyrównał i nazwał chwilę sobie współczesną „zeschłem latem pustyni,“ ukrywającem w swej piersi przyszłe urodzaje ongi boską ręką posiane. Niegdyś Har szczęściodajny władał ludźmi i ich pouczał, potem znikł, ale kiedyś wróci Har-Machis, Har nowy, aby znowu świat uszczęśliwić.

Hindus wiedział o tysiącznych zniszczeniach i stworzeniach świata, wiedział o tem, że nowy świat dobrym, a złym stary bywa, Grek wspominał złoty wiek miniony i przyszły powrót rządów boskich, Żydowin za utraconym rajem i przyszłym wzdychał Messyaszem, a świat chrześcyański już witał wielkiego odnowiciela wszech rzeczy przez wszystkie narody oczekiwanego i radując się nim ostatniego czekał sądu. Chrześcyańską to myśl Bossuet streścił, kiedy oczom Francyi Ludwika XIV wielką dziejów epopeję przedstawił: „Grzech pierwszy dalsze grzechy wywołuje, brat zabija brata, synowie Boga ukochali córy ciemności, Pan się zniecierpliwił i oblał ziemię powodzią, jedną tylko sprawiedliwych rodzinę zachowując na przyszłe świata nasienie a wstrząśnienie przyrody przedpotopowej jest tak wielkie, że się odtąd skróciło życie ludzi. Oto akt pierwszy dramatu.“

„W drugim akcie nowy potop duchowych ciemności świat zalewa, bałwochwalstwo i duma władają sercami ludzi, co się wieżą Babel darmo o niebo kuszą i co za karę tego tracą wspólność języka, odtąd w tysiącu różnych narodów tysiąc różnych błędów wyznając. Jedna tylko rodzina zostaje wierną Panu i rozmnaża się w naród, na górze Synai otrzymuje prawa wśród gromów przez samego twórcę głoszone i zakłada państwo, co wzrasta i słabnie wraz ze wzrastającą i słabnącą wiarą.“

„Potem straszne burze pędzą Izraelitów na cztery strony świata, by nieśli swoją wiarę między pogany, a których mędrcy widzący światło Wschodu, Platon i Aristoteles przeczuwają przybycie „słowa,“ któremu torują drogę świeccy zdobywcy: Aleksander, Pompejusz i Cezar, a które się rodzi w stajence i umiera na krzyżu, by za pomocą kilku rybaków i nędzarzy obalić potęgę światowładców. Oto akt trzeci.“

„W czwartym znów akcie kościół walczy, zwycięża i rozszerza się jako niezachwiana opoka Piotrowa i świętych stolica, a piąty akt ma dopiero nadejść przy odgłosie surmy sądowej.“

To obraz jednolity i wielki, ale nie starczy na wytłómaczenie dziejów. Wysłuchawszy kościelnego mówcę, pytasz się mimowoli o to, dlaczego żyli Tamerlan i Dżengischan, po co Mohamed powstał, czem najnowszy fakt rewolucyi wytłómaczyć? Pytasz się o to dlaczego sztuki i nauki śniły przez całe wieki średnie, dlaczego wciąż zmiennem buchają światłem i dla czego to w jednym to w drugim rozkwitają narodzie? A na to tylko świecka nauka może odpowiedzieć.

Wiadomo, że się jak dotąd nie sprawdziła przepowiednia Bossueta i że ludy protestanckie nietylko nie popadły w powtórne barbarzyństwo, ale nawet zarówno potęgą jak obyczajami i oświatą przodują katolikom. Nie dziw więc, że u protestantów trzeba w tem stuleciu szukać najznakomitszych historyozofów Hegla, Buckle'ya i jak chce wielu, Drapera.

Heglowi świat cały był pośredniczącem ogniwem między t w i e r d z e n i e m i p r z e c z e n i e m. Byt — oto t w i e r d z e n i e, n i c o ś ć — p r z e c z e n i e, a p o w s t a w a n i e, t w o r z e n i e się, to owo trzecie najwyższe pośrednictwo. Czyli raczej: Ja — to twierdzenie, nie ja — to przeczenie, a ś w i a d o m o ś ć czyli ś w i a t r z e c z y z n a n y c h, oto pojednanie.

I dzieje musiały się w tej formułce pomieścić. Wszak one właśnie niczem innem nie były, jak tylko pojednaniem samowiedzy wszechludzkiego ducha, z obcym a nieznanym żywiołem tego, czego nie ma, tego, co po za duchem leży. Ztąd u początku dziejów musiał z konieczności leżyć stan szczęśliwy, wiek złoty, w którym ludzkość nieświadoma jeszcze wszelkiego przeczenia śniła w rajskiej i szczęsnej jedności. Stan ów poprzedził dzieje, bo dziejom i życiu potrzeba walki i zwycięztwa, a one tylko możliwe ze zjawieniem się indywidualizmu, narodowości i różnorodnej nienawiści. Dopiero kiedyś spojrzy ludzkość na siebie myślącem okiem, przejrzy konieczne

źródło wewnętrznych niesnasek, przemoże wroga i stanie się już niezaprzeczonym Bogiem.

Taki to był wielki zarys historyozofii nakreślony śmiałą ręką Hegla. I mistrz sam i niezliczeni uczniowie usiłowali ciało nadać tej postaci, faktami dziejów wypełnić filozoficzne ramy. Nie powiodło się, a Buckle w inną stronę skierował baczność pozytywniejszej i późniejszej połowy naszego stulecia, odnawiając i uzupełniając teorye pojedyńcze Monteskiusza o wpływie klimatu i otoczenia na społeczeństwa ludzkie i stawiając teoryę przeczącą zupełnie wszelkiej wolności woli. Na jego to barkach stanął Draper, lekarz i fizyk Amerykański.

Dzieło Drapera znakomicie napisane, a Draper sam okryty wawrzynami zdobytymi na polu nauk przyrodniczych. To też nie małą popularnością cieszy się „Historya rozwoju umysłowego Europy.“ Jest to jedna z tych książek co nie czytelników tylko, ale wiernych posiadają czcicieli.

O tej to książce zamierzam pomówić; a że tylko o znajomych można sąd wydać, zapoznam przeto przedewszystkiem czytelnika z treścią i tendencyą tego dwutomowego dzieła.

(C. d. n.)

MĘCZENNICY FANTAZYI.

NOWELLA

z niemieckiego

LUDWIKA FOGLARA.

(Ciąg dalszy.)

Wkrótce otwarły się drzwi więzienia, a do skromnej celi Fryderyka weszła w ciemnym stroju z posępnem wejrzeniem Alma.

— Zuzanna — rzekła do zdumionego tym widokiem — przysłała mnie, by panu wolność oznajmić, ale sposób, przez który wolność otrzymałeś, pozostanie jej tajemnicą, pan zaś natychmiast wydalić się musisz — tej godziny!...

Fryderyk skamieniał. Począł się gubić w domysłach, wspomnienia tego wieczoru, zimny a tak słodki tym razem Orbes, który go zaciągnął tam, gdzie wiedział że jego oburzenie i zapał zerwie wszystkie tamy osobistych względów, to wszystko migało mu przed wzrokiem duszy. Poglądał na opartą na ramieniu swojem pełną cierpienia Almę, dziwne przeczucia się w nim ozwały i szepnął rzewnie:

„Żegnajcie dobrzy moi!“

Jak na głowie siostry, położył rękę na głowie dziewczęcia, co u nóg jego padło. Dosłyszano kroki dozorcy, Fryderyk podniósł siłą woli Almę i odprowadził do pojazdu. Tam jeszcze szepnął: „Bądź zdrowa!“ i znikli na zawsze dla siebie. Fryderyk patrzył za niknącym powozem żegnając się z każdym domem, z każdym kamieniem.

Wtedy Orbes się zjawił. Poszli razem.

— Wiem, — rzekł po długiej chwili — że pan nas opuszczasz, pozwól bym nieco pomyślał o przyszłości twojej, o której rzadko myśleć umieją poeci. Ten list poleca pana do domu konsula hamburskiego w Bordeaux, oby się panu tam wiodło — „szczęśliwie!“ Nie jest to żadne dobrodziejstwo. Owszem zobowiąże pan nas najmocniej, oddając swą znaną pomoc i talenta tej przyjaznej mi rodzinie. Będziesz przyjęty z otwartemi ramiony. Niechaj cię Pan Bóg prowadzi!

Ścisnął rękę zdumionego Fryderyka i odszedł w zaułek ulicy.

Tak jak skazanemu na śmierć wolno w ostatnich godzinach, jakby przez szyderstwo, użyć wszystkiego, by mu te godziny jeszcze trudniejszemi uczynić — tak róg obfitości raz jeszcze posypał się nań z serca ludzkiego, by mu przypomnieć, co za sobą zostawiał!

„Zachodź wspaniałe słońce, uczcili cię mało,
„Nie znali tylko, pożytek twych blasków,
„Niestrudzone i ciche nad strudzonymi
„W blaskach daremnych schodziłoś!...“

Ten akord z dawniejszych jego pieśni brzmiał mu w duszy coraz żałośniej, coraz serdeczniej, ostatnie domy gubiły się za nim i droga skalista była przed nim. Cała cudowność letniej poświaty ozłacała pola, wonne tchnienie powiało po lasach i błoniach, za nim jeszcze błyszczało miasto otoczone wstęgą rzeki Menu, na której krążyły śnieżne maszty rozlicznych statków i mówił do siebie odchodząc:

„W świetle i woni toną — i miłość i żal.
„Ale spłoszony błagalną prośbą
„Uchodzi czar! i ciemno i smutno do koła,
„A pod tem niebem jakżem ja sam!...“

Fale czasu przeszły po tych zdarzeniach i pokryły je zapomnieniem, ale nieuleczone sposępnienie opanowało dom Gontarda. Rozumny Jakób łatwo się domyślił powodów nagłego odejścia Fryderyka. Orbes był jedynym człowiekiem, z którym o tem mówił, ale jego stosunek do Zuzanny i Almy stał się poważniejszy, surowszy, a salony jego, niegdyś ognisko intellektualne i artystyczne, ulubiony punkt zborny patrycyuszowskiej arystokracyi, w których i Goethe nieraz tak chętnie przebywał swego czasu, teraz stały pusto i grobowa cisza zalegała komnaty poświęcone niegdyś uczczeniu greckich pomników.

Nawet lube rodzicom hałaszenie dzieci ustało, bo je jako doroślejsze do zakładu szkolnego oddano, tylko sprawy handlowe były jedynem zajęciem i o nich tylko słychać było. Jakób marzył oddawna, by siostrę swoją bardzo mu drogą, wydać za najmilszego towarzysza swego— Orbesa, jakkolwiek Alma nigdy cienia sympatyi postrzedz nie dała dla „trzeźwego“ doktora. Zuzanna wymówiła się stanowczo od wszelkiego wpływu w tej sprawie, która wcale jej się nie zdawała korzystną. Tak więc obaj panowie ułożyli tę rzecz między sobą, jak się układa interes kupiecki...

Dzień oświadczeń niemal już miał być wyznaczonym, gdy przyszedł Orbes dla umówienia się o resztę. Zastał Gontarda samego i w pomięszaniu niezwykłem. Jedno spojrzenie przekonało go, że zaszło coś nadzwyczajnego. Ale wyćwiczony badacz, przywykły by do niego przychodziło ludzkie zaufanie, nie dał się zbić z toru,

lecz zwolna zbliżał się do celu. Po kilku słowach zrozumiał, że Gontard go nawet nie dosłyszał, ale wzrokiem błędnym utonął w księdze rachunkowej niespokojny, pobladły, drżący...

Orbes powtórzył uczynione pytania, ale Jakób powstawszy przeszedł się dużymi krokami po pokoju, wreszcie stanął jak wryty i rzekł:

— Czy chcesz się doprawdy ożenić — z siostrą... żebraka?

— Nie rozumiem cię!

— Więc czytaj!

Podał mu listy z Nowego Yorku. Zawierały doniesienie o upadku jednego z głównych tamtejszych domów handlowych, któremu całą agencyę powierzył był Gontard.

Orbes pobladł i wypuścił kartkę.

Jakób patrząc przed siebie powtórzył ponuro:

— Tak, jestem żebrakiem!

Upadł w krzesło. Kobiety właśnie wybierały się w podróż do kąpiel, bo osłabienie Zuzanny zaczęło zatrważające przybierać rozmiary, kazano jej nad morzem północnem u wód przepędzić czas jakiś. Już spakowano i miały wyjeżdżać po obiedzie. Zapukano do drzwi, wszedł Orbes prowadzący pod ramię Jakóba, na którego twarzy mimo całej mocy jaką miał nad sobą, nieszczęście dla niego tak dotkliwe wydeptało straszliwe ślady. Badawczo zmierzył siostrę i przyjaciela, aż oko jego z boleści pełnym wyrazem spoczęło na Zuzannie.

— Będę wam towarzyszył w podróży — rzekł Orbes — Jakób jeszcze pozostanie dla interesów swoich. Mam pewne prawo do tego, bo tylko co bratu Almy oświadczyłem się o rękę jego siostry i mam nadzieję bycia przyjętym.

Jakób uścisnął przyjaciela; obie kobiety struchlały.

Rok dobiegał końca — mroźna zima brała liczne ofiary, zwłaszcza w południowej Francyi i pewnych częściach Niemiec. Niemniej, jako sprzeczność z uciskiem politycznym, wywiązała się taka chęć do zabaw, takie rozszalenie i ściganie za użyciem, jakie ledwo za najlepszych czasów mogłoby być jako szał pojęte. Głównie Bordeaux odznaczało się tem usposobieniem. Fryderyk w świetnem otoczeniu mimowolnie wplątał się w nowe stosunki, które, jakkolwiek przeszłość była mu niezapomnianą, łagodziły nieco smutek roztargnieniem. Południowy ustrój odradzającego się społeczeństwa, pewna lekkość i łatwość arcymiła w obejściu, uprzejmość ludzi wszelkiego wieku i stanu, nie mogły jak tylko zjednać sobie umysł młodego poety. Mianowicie koła artystyczne miały dlań wiele powabu i nawet pozorami świetnymi łudziły jego fantazyę; społeczność ta pod formą aksamitną pokrywała czczość i materyalizm, które musiały porwać najroztropniejszy umysł skoro się posunął do ich pochyłości. W takich stosunkach nadwątlone jego zdrowie nie mogło w żaden sposób się polepszyć i Saint-Clair odwiedziwszy przyjaciela zostawił go pełen obawy. Tem silniej obawy te wzrosły, gdy pewnego razu Fryderyk wyszedłszy z domu niepowrócił zupełnie. Zapytania i odszukiwania okazały, że z papierami podróżnymi puścił się w głąb kraju. Nikt nie wiedział czemu to przypisać. Dzień jeden był dostateczny, by i przez to imię przeszły fale — zapomnienia! Jeszcze pytali o niego życzliwi, przychodziły listy zdaleka, wreszcie i to ustało. Tymczasem Fryderyk nieustannie wędrował wśród mroźnej zimy piechoto przez strome szczyty gór Auvergne, z doliny w dolinę, stawiając czoło wszelkim niebezpieczeństwom i gnany niewypowiedzianym niepokojem; jakiś tajemniczy Demon pędził go naprzód—aż na ojczystej ziemi—upadł pół martwy ze znużenia!...

Późno w noc przyjęła go uboga a gościnna chata, lampa wieczorna oświeciła drzemiącego, na stole opartego człowieka — ten się przebudził — wpatrując się zdziwiony w Fryderyka i rzucił mu się w objęcie. Był to Saint Clair.

— Cóż cię powraca ojczystej ziemi?

Ten ujął dłoń przyjaciela i chciał odpowiedzieć, ale znużenie po takiej wędrówce, wzruszenie wywołane powrotem odebrały mu siłę — siadł niemy na ławie a druhowi podał milcząc to pismo od Orbesa:

Wangeroge 18....

„Mój zacny przyjacielu, stało się jak gdyby dobry gieniusz domowy Gontardów uszedł z tobą. Bo skoro Almy melancholia nieco się usunęła, widocznie niknąć poczęła nasza droga Zuzanna. Kąpiele morskie bardzo jej zaszkodziły, tak że musieliśmy tutaj po nad czas przepisany długo zabawić. Jeszcze drugi powód nas tam zatrzymał, — bankructwo Gontarda. O resztki fortuny chodzi i Gontard w zapasach fatalnych wypłynie zwycięzcą lub utonie. Oby zapóźno nie wrócił! zawsze to myślę ile razy spojrzę na tę różę więdnącą!... Zanadto cię znam i cenię, bym nie wypełnił tego ciężkiego względem ciebie obowiązku i nie miał ci donieść o prawdzie. Poszlijże promyk udziału w tę noc rozpaczy i opuszczenia!“

Saint Clair nie starał się pocieszać przyjaciela, ale widział go w takim stanie, że go samego nie śmiał zostawić. Nazajutrz puścił się z nim pieszo ku wybrzeżom morza północnego.

(Dok. n.)

PRZEGLĄD RZECZY SŁOWIAŃSKICH.

(Dokończenie.)

Pieśni o wilach (boginkach) są bardzo mało znane i ocenione, jak to przyznaje sam Rakowski. Mówi się w nich o boginkach górskich, wodnych i powietrznych, najczęściej jednak o tych ostatnich. Wile są bardziej nieprzyjaźne, niżeli życzliwe człowiekowi. Bohaterowie i junacy chcąc zyskać sobie ich pomoc, przybierają je sobie za siostry. Tak Markowi pomogła boginka w ciężkim boju, a Sekulowi w zapasach ze smokiem. Często wchodzą w związki z ludźmi, złe z nich jednak żony i obojętne na dzieci swoje. Oto jak czyny ich pieśń określa:

„Zamek wila budowała,
Ni na niebie, ni na ziemi,
Ale gdzieś pod obłokami.
Gdy stawiła smukłe słupy,
Chłopców na nie rażnych brała,
Ustawiając lekkie schody
Na porecze dziewki brała,
A budując jasne okna
Z dzieciątek je układała.“

Pod te pieśni podciągają się także i „zmije“ albo „adżeri“ t. j. smoki. Żarłoczne są i okrutne oraz wcześnie rozkochane w dziewczętach te straszydła. W nich uperso-nifikowała wyobraźnia ludu wraże siły i własności przyrody. Z postępem cywilizacyi zmije i pieśń niknie.

Pieśni nabożne odznaczają się największą pięknością. Ulubieni święci: Ilja (Eliasz), Jovan (Jan), Nikola (Mikołaj) i Peter (Piotr) podzielili się panowaniem nad światem. Eliaszowi przypadło budzić letnie burze, aby się go chrześcyanie lękali, św. Mikołajowi wody i burze morskie, u Jana na pieczy kościoły i klasztory, kmotrostwo i pokrewieństwa, św. Piotr rządzi kluczami od raju. Ci to święci chodzą po świecie, ratują wiernych a złych karzą.

Matka Boska opowiada św. Mikołajowi, że przeklęła trzy drzewa: osinę, aby nie miała cienia, jodłę, żeby nie miała owocu, a sosny za to, że odmówiły jej cienia, kiedy uciekała z Jezusem. Cześć dla tajemnic wiary głęboka. Kiedy się Stankowicz ze swych grzechów spowiada, wszystko mu pop odpuszcza, okrom zrabowania trzech kościołów, a kiedy się nadto dowiaduje, że grzesznik wyrwał matce i połamał dwie białe hostye, które niosła w ofierze św. Jerzemu, woła na trzechset młodszych popów, ażeby wzięli kamień ważący trzysta ok (oko: trzy funty), uwiązali Stankowiczowi do szyi i w morze go rzucili. Ale i morze nie chciało przyjąć takiego winowajcy — rozstąpiło się na wszystkie strony.

Św. Piotr nie chce wpuścić do raju matki swojej, ponieważ gdy była karczmarką, źle mierzyła, wino mięszała z wodą i żebraków odganiała. Mówi tak do niej:

„Przyszli k'tobie dwaj żebracy,
Dwaj żebracy, nieboracy,
Zajęczeli, zaśpiewali,
I prosili ciebie, matko,
W święte imię Chrystusowe.“

A ona życzyła im, żeby ich piorun pobił, krzycząc, że radziby od niej wziąć całą chałupę. A gdy już kogo obdarzyła, to w mące dała połowę popiołu a w soli połowę piasku.

„Płaczże, krusz się, grzeszna matko,
Tyś niegodna wejść do raju,
Wejść do raju, raj oglądać.“

Przyszła do piekła. Na prośby jej wyrwał sobie Piotr św. włos i wyciągnął go do niej, do piekła. Dużo się dusz do niego naczepiało. Matka odgania je, wołając, że niegodne wyjść z piekła; w tem się włos urywa i grzeszna kobieta spada aż na najgłębsze dno mąk wiecznych.

Bohaterskich pieśni przedmiotem są rozbójnicy, junackie zapasy ze smokami, boginkami złemi, walki za wolność, boje z niewiernymi i rycerzami uważanymi za niezwyciężonych. Często także poszukiwanie żony, bogate małżeństwo, porwanie dziewczyny, wydobycie z więzienia itd.

Ducha wojowniczego dziecko ssie od młodości. Matka kołysze syna w złotej kolebce i śpiewa:

„Gdy wyrośniesz miły synku
Wyrwiesz ziemię z obcej ręki,
Oswobodzisz, mój Stojanie.“

Junak czyli zbójnik bułgarski najwięcej kocha konia szybkiego, ostry miecz i serdeczną niewiastę, uzbrojenie jego stanowi buzdygan (młot) ważny na 300 ok, albo pałka; nowsi zbójnicy mają miecz błyszczący, „siekający drzewo i kamienie,“ wierną strzelbę na ramieniu, pistolety za pasem, ze stroju najczęściej pieśń wspomina o burce, kiedy pędzi junak na koniu:

„Z pod kopyta ogień wykrzesuje,
Przelatują mu iskry przez głowę.“

A kiedy się dwaj junaki za bory wzięli:

„Splątali się, jako lute żmije,
Czarna ziemia trzęsie się i niebo,
Po wszej ziemi głos się ich rozlega,
Jakby grzmoty czynił Eliasz święty.“

Młody Dukowiniec tak ciska kamień, że ten pada dopiero za trzy dni i trzy noce.

Wiele serbskich pieśni zaczyna się od tego, że junak pije wino, kto najwięcej wypije, ten najtęższy junak. Tymczasem Bułgar Ivo pisze z więzienia do swego druha, ażeby go wyswobodził. Podaje do tego takie rady:

„Wybierz sobie trzysta chłopców śmiałych,
Co nie piją żadnego napoju,
Co nie mają ojca ani matki,
Co nie znają jak to boli rana.“

Serbski Marko królewicz słabnie i choruje w więzieniu. Nim się w bój wybierze, pierwej trzy razy po trzy niedziele dobrze je i pije, a kiedy się nareszcie wraca siedmdziesięciu ranami pokryty, dostaje od cesarza tysiąc dukatów i chodzi od gospody do gospody dopóki się nie wygoi.

Bułgarski junak walczy choć chory i nieprzyjaciela poraża—bez napoju. Jeden więzień się żali, że miał ciężkie więzienie. Po kolana w nim było wody. Junak strawił tam dziewięć lat.

„Urosły mu włosy aż do pasa,
Rzęsy oczu — jak jaskółcze skrzydła.“

Jeśli junak dopuści się złego czynu, leży za to dziewięć lat chory i wyleży dziewięć pościeli. Wtedy zwyczajnie matka go się pyta czy nie ma jakiego grzechu, a on matce lub księdzu się spowiada i winy żałuje. Tak naprzykład Marko był w polu wzięty. Córka jego dozorcy podawała mu do więzienia gałązkę kwiatu, ażeby wiedział kiedy lato, grudkę śniegu, ażeby wiedział kiedy zima. Wreszcie wydobywa go na wolność za obietnicę, że się z nią ożeni. Uciekają razem aż dojechali do pewnej studzienki. Tu dopiero Marko spostrzega, że jego kochanka ma czarne a nie białe zęby. Tak go to zgniewało, że ją zabił. Uważa się to za grzech najcięższy.

Syn grozi matce, że jeźli go nie ożeni, on zostanie hajdukiem (rozbójnikiem).

„Będę w czarną stroił się koszulę,
Niejednej ja matce łzy wycisnę,
Niejednego zgubię junaka.“

Hajducy są wspaniali i pobożni. Popatrzmy jak wygląda hajduk martwy na łożu:

„W głowach ma proporzec na kształt krzyża,
Na proporcu tym krzyżów dwanaście,
Wszystkie krzyże są z drogich kamieni.“

Zakończymy ten krótki przegląd treści i ducha narodowych pieśni bułgarskich, w którym trzymaliśmy się *uwag* Bułgara Rakowskiego i najświeższej pracy Jana Dunowskiego, Czecha, małą wzmianką jeszcze o pieśniach miłośnych. Pieśni miłośnej w pojęciu naszem u Bułgarów nie ma. Jeżeli się mówi o kochaniu, mówi się o owym szlachetnem połączeniu dwóch dusz i ciał sądzonych dla siebie — o małżeństwie. Miłość nie idąca ku pomnożeniu i utrzymaniu rodziny nie jest u nich miłością. Dla tego wesele jest u nich uroczystością najważniejszą w życiu, dla tego tyle pieśni weselnych, dla tego w treści każdej pieśni trafia się słowo: ślub. I św. Dymitr się żeni. Wszyscy święci są mu swatami. Kiedy przychodzi orszak weselny do rzeki, św. Eliasz nie chce go przepuścić, ponieważ panna młoda nie ofiarowała mu żadnego podarku. Dali mu tedy białą różę i ostry miecz a ułagodzony święty ich puścił.

W tych to pieśniach miłośnych odbija się wybornie obraz żywota rodzinnego. Miłemu stukającemu do okienka

odpowiada kochanka, że wstać nie może, bo matka leży przy niej, lewą rękę ma pod nią, prawą nad nią.

Dziewczyna porównana zwyczajnie do jodły — miły do topoli — kochanek i kochanka — to orzeł i orlica.

Pieśni miłośne spiewają się na tak zwanych „sedenkach.“ Jest to nic innego, jeno nasze wieczornice.

Oto jedna z pieśni wieczornicowych:

„W wieczór szary, złatko miła,
Przyszedłem na wieczornicę,
Znalazłem cię opuszczoną,
Zmarkoconą, zasmuconą,
Jako róże pół uwiędłą.
Czemuś taka rozżalona,
Zmarkocona, zasmucona?
Kiedy pytasz, najmilejszy,
Kiedy pytasz, powiem tobie,
Czemu jestem rozżalona,
Rozżalona, zmarkocona,
Słyszałam to i pojęłam,
Że chodzisz na wieczornice
I miłujesz jeszcze inną,
Jeszcze inną — nie mnie samą
Czy miłujesz jeszcze inną
Jeszcze inną — nie mnie samą?
Czy ci daje jak ja kwiatki,
Czy ci mówi moje słówka
Czy tak tańczy, jak ja tańczę?
Dragan złatec odpowiada:
Jeśli inną ja miłuję,
Jeszcze inną oprócz ciebie,
Mam konika — niech go stracę,
Mam ja strzelbę — niech mi zginie,
Nieżądajże, bym ci klął się,
Bym ci klął się, zaprzysięgał,
Wierz, na Boga, moja miła,
Żadnej innej nie miłuję!“

Podanie gałązki z kwiatem jest dowodem miłości. Wyznanie takie proste jest i piękne. W zagrodzie siedzi hoża Dunno. Stojan przegina się przez płot i roni nóż z ręki. Woła na Dunnę, żeby mu go podała. Ona nie podaje mu noża ale poda mu kiść osypaną purpurowem kwieciem. Jeżli przeciwnie chłopiec nie zyska wzajemności od dziewczyny odpowiedź jej jest równie piękna i prosta.

Młody pop schwytał dwie dziewczyny, które mu weszły w ogród. Pierwsza prawi, że będzie mu czesać długie włosy, a druga płacząc odpowiada, żeby ją puścił i popatrzył na nią, że oczy ma pełne łez ale serce próżne. Zauważyć tu także, że o sercu nie mówi się u nich wiele, w pieśni zastępują je oczy:

„Moje oczy, — twoje oczy.
Twoje oczy — moje oczy.“

Takie są bułgarskie pieśni, których poezya trzeźwa i spokojna, daleka od konwencyonalizmu cywilizowanego, posażna prostotą i świeżością środków poetycznych, może być krynicą natchnienia i odrodzenia dla każdej głębszej duszy, znękanej sztuczną atmosferą cywilizowanych uczuć.

Władysław Ordon.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

(*Filiberta*, komedya w 3 aktach Emila Augier, przekład wierszem Kazimierza Kaszewskiego).

Dwukrotnie w bieżącym tygodniu (d. 15. i 17.) przedstawiono tę komedyę. Emil Augier dzieli swój zawód pisarski na trzy odrębne doby. W pierwszym burzliwej fantazyi młodzieńczej okresie napisał parę dramatów historycznych („Zdobycie Neapolu“ i inne), w których wartość ani krytyka, ani on sam nie uwierzył. Wtedy dał literaturze francuskiej szereg komedyi, zwykle nader poetycznie i szlachetnie pojętych, które uderzały śmiałością pomysłów i wytwornym smakiem w opracowaniu tychże. Zawsze okazywał skłonność do stwarzania postaci o naturze wyjątkowej, w sobie noszącej sprzeczność, którę bieg sztuki ułagadzał.. To zamiłowanie w trudnej i paradoxalnej charakterystyce pochłaniało coraz wyłączniej jego fantazyę, tak że z czasem dbać przestał o poetyczność kompozycyi i skierował cały wzrok swój na przeprowadzenie charakterów wybitnych, z życia wziętych. Powiedział sobie wraz z całą pozytywną estetyką pana Taine, że sztuka wtedy dopnie swojego celu, jeżeli ujmie w swe formy życie terazniejszości z nagą jego prawdą i zasadami. Sztuka być powinna wyrazem chwili, z odmianami jej prądów odmieniać także swą fizyognomię i tak, wiernie a wytrwale, towarzyszyć swemu czasowi. Taine więc a za nim Augier w dzisiejszem przeobrażeniu swych poglądów, nadają sztuce wartość b e z p o ś r e d n i ą, każą jej mieć na oku i n t e r e s p r a k t y c z n y... Gdy takie pojęcie rzeczy jasno się ukształtowało w głowie Augiera, zerwał płaczliwym dramatem „Gabryela“ z własną przeszłością i stanął potęgą swego talentu wyniesiony odrazu na czele szkoły realistów francuskich. Co potem nastąpiło wszyscy wiemy — bo któż nie zna: „Bezczelnych“ lub „Syna p. Giboyer“? Ale „Filiberta“, to jeszcze fjołek z innej łąki, to jeszcze tchnienie lat wiosennych w poetycznym zawodzie Augiera. Nosi więc ta komedya na sobie wszystkie cechy idealizmu, wszystkie przytem dobre strony talentu swego twórcy, wraz jednak z wadami, których się dziś ustrzega, wzbogaciwszy życie doświadczeniem.

Na zamku bretońskim Grandchamps żyją dwie siostry, będące sobie antitezą. O ile Blanka jest dziewczęciem wesolutkiem, na świat pogodnie patrzącem. bo od świata szczerze ukochanem, o tyle Filiberta patrzy nań ponuro i cierpi głęboko, bo ten sam świat ją niesłusznie upośledził... Powiadają jej codzień, że jest na twarzy brzydką, z natury dziką, na umyśle nie wykształconą, podczas gdy ona sama czuje, że posiada w duszy niewyczerpane skarby poświęcenia i słodyczy... Popchnięta przez nieczuły świat do samotności, sama się wychowuje, sama kształci swoje pojęcia, wyrabia w sobie kobietę — jest autorką własnego życia i dzieckiem natury... Gdy jeszcze dodamy, że k o c h a, charakterystyka jej będzie zupełną... Kocha zaś młodego Lucyana de Taulignau, chłopca ubogiego, ale ani przypuszcza wzajemności — tak jest onieśmieloną do świata. Pozorna obojętność Lucyana sprawia jej najcięższy, ale cichy ból — tymczasem on z równą siłą, ale i z równą niewiarą ubóstwia Filibertę. Jego znowu onieśmiela własne ubóstwo, a miłości swej wyznać nie pozwala wrodzona duma. Wreszcie jednak przemaga siła uczucia — Lucyan oświadcza się, ale skeptyczna i zdziczała Filiberta widzi w tem raczej akt miłosierdzia nad sobą, chęć wyrwania jej z nienawistnych więzów otoczenia — i odmawia w tyradzie, przepełnionej goryczą. Po drażliwej przeprawie dwojga głęboko się miłujących kochanków następuje — nawet wypowiedzenie sobie całej przyjaźni. Fale uczuć, są jak fale morza, powiada Grillparzer, w ciągłym przypływie i odpływie. Tymczasem przybywa na zamek stary wyjadacz rozpusty wersalskiej, książe Chamaraule, któremu król Ludwik XVI dla przyzwoitości, kazał się ożenić. Książe szczerze kocha „brzydką“ kuzynkę i oświadcza się o jej rękę — tak samo jednak, chociaż w innych, mniej cnotliwych zamia-

rach, wynurza Filibercie wyuzdane swe afekty siostrzeniec księcia, cyniczny pupil miłostek i encyklopedyzmu XVIIIgo wieku, Gaston de Talmay... Filiberta odrzuca naturalnie obydwa te oświadczenia, ale w duszy jej odbywa się gwałtowny przewrót — widzi naocznie, że przecież nie musi być tak brzydką, ani na umyśle tak upośledzoną, kiedy aż dwóch ludzi może pokładać szczęście życia w jej miłości. To jej otwiera oczy, że Łucyanowi wyrządziła swem posądzeniem krzywdę — że Łucyan mógł nie z litości, ale z popędu serca, prosić ją o rękę... Tym wypadkiem odrodzona, nabrawszy siły i ufności w siebie, oddaje się Łucyanowi — od chwili, kiedy zaczęła wierzyć, że może uszczęśliwić człowieka...

Oto krótka osnowa — przyznacie, że w streszczeniu wszystko jest uzasadnionem i poetycznem, a przecież brak konsekwencyi w charakterystyce, a nawet niektóre odcienia w postaci Filiberty rażą tu bardzo... O ile delikatnie i z rzadkim urokiem oddaną jest metamorfoza kobiety smętnej, rozgorączkowanej i wzdychającej prawie po Hamletowsku do śmierci, w dziewczę radośne, upojone życiem, grzejące się na słońcu własnych uczuć, o tyle jednak sądzę, że na dnie duszy Filiberty zostać była powinna zawsze chociażby lekka pamięć czasu, w którym uważano ją za kopciuszka, pewna rzewność w uniesieniach szczęścia, pewna lękliwość w obec ludzi, każąca jej obchodzić się z nimi łagodnie i pokornie, chociażby figura była tak pocieszną, jak stary Chamaraule... Przybranie zaś tak szybkie tonu sarkastycznego i pewnego siebie odbiera postaci wdzięk a nawet wewnętrzną prawdę. W objawach duszy niema przejść tak łatwych, tak stanowczych... Kiedy zaś Filiberta ironizuje nawet poczciwego choć dziwacznego zresztą starca, to już wcale nie zostawia miłego wrażenia. Obok tego błędu wycisnął Augier na każdej scenie swej „wonnej“ komedyi piętno rzetelnego i czystego natchnienia. Wybornie pochwyconą jest charakterystyka wieku XVIIIgo, tej chwili dziejowego przełomu, w której pojęcia stanowiące zasób moralny tylu wieków, starły się a nowa myśl obyczajowa jeszcze nie przesiąknęła umysłów. Pojęcie rodziny było podkopanem a cynizm opanował życie czyniąc je rozpustą, i filozofię czyniąc ją materyalizmem. Wychowankami tej epoki są książe Chamaraule i jego siostrzeniec, dwa wyborne, z niespożytą werwą humoru nakreślone typy. Dyalog sztuki jest nader wykwintnym i bogatym w olśniewające zwroty myśli.

Niepodobnem byłoby twierdzić, że pani Woleńska (Filiberta) przemogła wszystkie trudności swej roli, ale jakkolwiek pragnęlibyśmy u niej chętnie widzieć silniej rozwiniętą grę dramatyczną, to przyznać należy artystce zaletę trafnego i gruntownego zrozumienia przedstawionej postaci we wszystkich jej odcieniach. Pani W. wkłada w grę swoją bardzo wiele ujmującego prostotą wdzięku i role o nastroju lirycznym, smętnie uczuciowym umie powlekać kolorytem miłej poezyi, ale na oddanie potężniejszych objawów duszy nie starczy jej siły... Filiberta do pewnego stopnia leży jeszcze w zakresie talentu pani W... P. Królikowski (książe Chamaraule) oddał trafnie posuwistość zalotną wychowanka dworu, ale dla uwidomienia śladów rozpusty, użył efektów nadto zewnętrznych. Rozpusta nie wypiętnowała się w jego grze na całej postaci, na duszy Chamaraulaześrodkowując wpływ swój cały w nogach... P. Kwieciński (Gaston de Talmay) wypaczył zupełnie charakter kawalera wersalskiego, pełnego elegancyi przy całym zewnętrznym cynizmie, gładkiej rzutkości w ruchach, wykwintnej emfazy w głosie, wysokiego smaku w ułożeniu, a delikatnej werwy w dowcipie. O ile p. K. bardzo jest miłym artystą w roli kochanka mieszczańskiego, uczuciowego, o tyle nie ma żadnych warunków na oddanie tych wietrznych a świetnych kawalerów, których istota się streszcza, jak tam gdzieś Klaczko pisał, „we frazesie i w pozie“. Na zupełne uznanie zasłużyła w tej komedyi tylko piękna, uczuciem przepojona gra p. Woleńskiego (Łucyan) i panny Deryng (Blanka).

Bronisław Zawadzki.

Wiadomości naukowe, literackie i artystyczne.

LITERATURA i ESTETYKA. *Stan. Czarnowski. Warszawski rocznik literacki, poświęcony oświacie, bibliografii i księgarstwu.* Rok I. 1871. Warszawa 1872. Jest to wcale dokładny pogląd na zbiór literacki ubiegłego roku w połączeniu z dodatkiem zawierającym spisane w alfabetycznym porządku wszystkie nowe książki wyszłe w trzech dzielnicach Polski.

HISTORYA. *Zimmerman dr. Wilhelm. Geschichte der Jahre 1860 bis 1871.* Stuttgard 1872. Kończy z wojną francusko-pruską.

— *Borkheim L. Partheien und Politik des modernen Russland,* przekład z angielskiego. Zurych 1872.

NAUKI SPOŁECZNE. *Stanley Jarons. The Theory of Political Economy.* 1872. Opiera prawa nauki społecznej na rachunku różniczkowym, wychodząc z zasady, że ekonomia, działająca ilościami, ulegać powinna opracowaniu matematycznemu.

— *Hirschberg Rich. Die Lösung der socialen Frage nebst Darstellung der wichtigsten socialistischen Lehren und der Arbeiterbewegung der letzten Jahre.* 1872.

NAUKI PRZYRODNICZE. *Dr. Quenstedt. Neue Reihe populärer Vorträge über Geologie.* Tübingen 1872, str. 322. Traktuje o kruszcach szlachetnych, meteorach i skamienialościach, ze szczególnem uwzględnieniem stosunków miejscowych w Szwabii i Wirtembergii.

PEDAGOGIA. *Michel Breal. Quelques mots sur l' instruction publique en France* Paris. Hachette 1872.

— *Hippeau M. C. L' instruction publique aux Etats-Unis.* Didier 1872.

ODCZYTY. W Warszawie rozpoczął d. 12 z. m. p. Miecz. Malcz. szereg odczytów: *„O przesądach s oleczewstwa w rzeczach lekarskich.“* — We Czwartek d. 18 b. m miał w Krakowie odczyt dr. Adam Asnyk (El...y): *„O rozkwicie średniowiecznego romantyzmu w południowej Francyi“* (o Trubadurach.)

TEATR. W *Krakowie* przedstawiono trzykrotnie z wielkiem powodzeniem Szekspira komedyę fantastyczną: *„Sen nocy letniej“* w przekładzie St. Koźmiana, z muzyką Mendelssohna-Bartholdy.— W paryskim *Theatre Français* przedstawiono długo oczekiwaną komedyę Henryka Meilhac: *„Nany.“* Utwór, jak mówi krytyka, napisany z talentem, ale nie ma w sobie dramatyczności. Jest raczej bystrem studyum jednego charakteru, analizą uczucia, dyalogowanym romansem, nic ma w nim działania, któreby poruszało i budziło żywy interes. — Karol Pieńkowski przełożył komedyę Moliera: *„Don Żuan.“*

Składka na fundusz szkół ludowych.

Pani M. 1 złr. — Panna M. 1 złr. — Z kwotą poprzednią: 29 złr.

Wydawcy: Romuald Starkel i Bronisław Zawadzki. Redaktor odpowiedz. Zyg. Ulanowski. Z drukarni J. Dobrzańskiego & K. Gromana.